

KULTURA

Newsweek

TEATR
WEDŁUG
ANDRZEJA
SEWERYNA

W Polsce mogę więcej

Przez lata uważałem, że śmiech jest gorszy niż łzy – **ANDRZEJ SEWERYN** o Francji i Polsce, o graniu Becketta i o największym wyzwaniu dla 69-letniego aktora.

ROZMAWIA JACEK TOMCZUK ZDJĘCIA FILIP ĆWIK/NAPO IMAGES

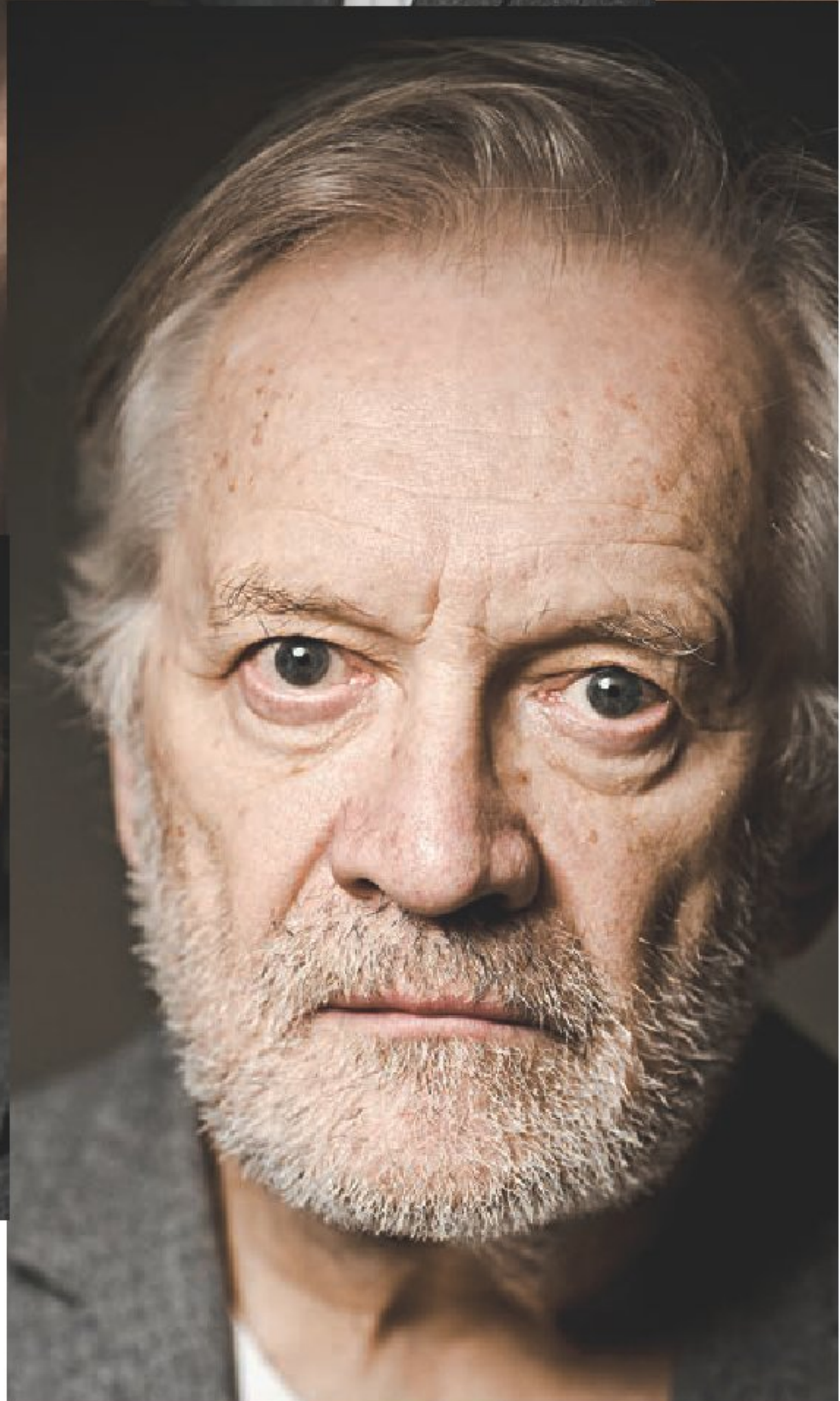
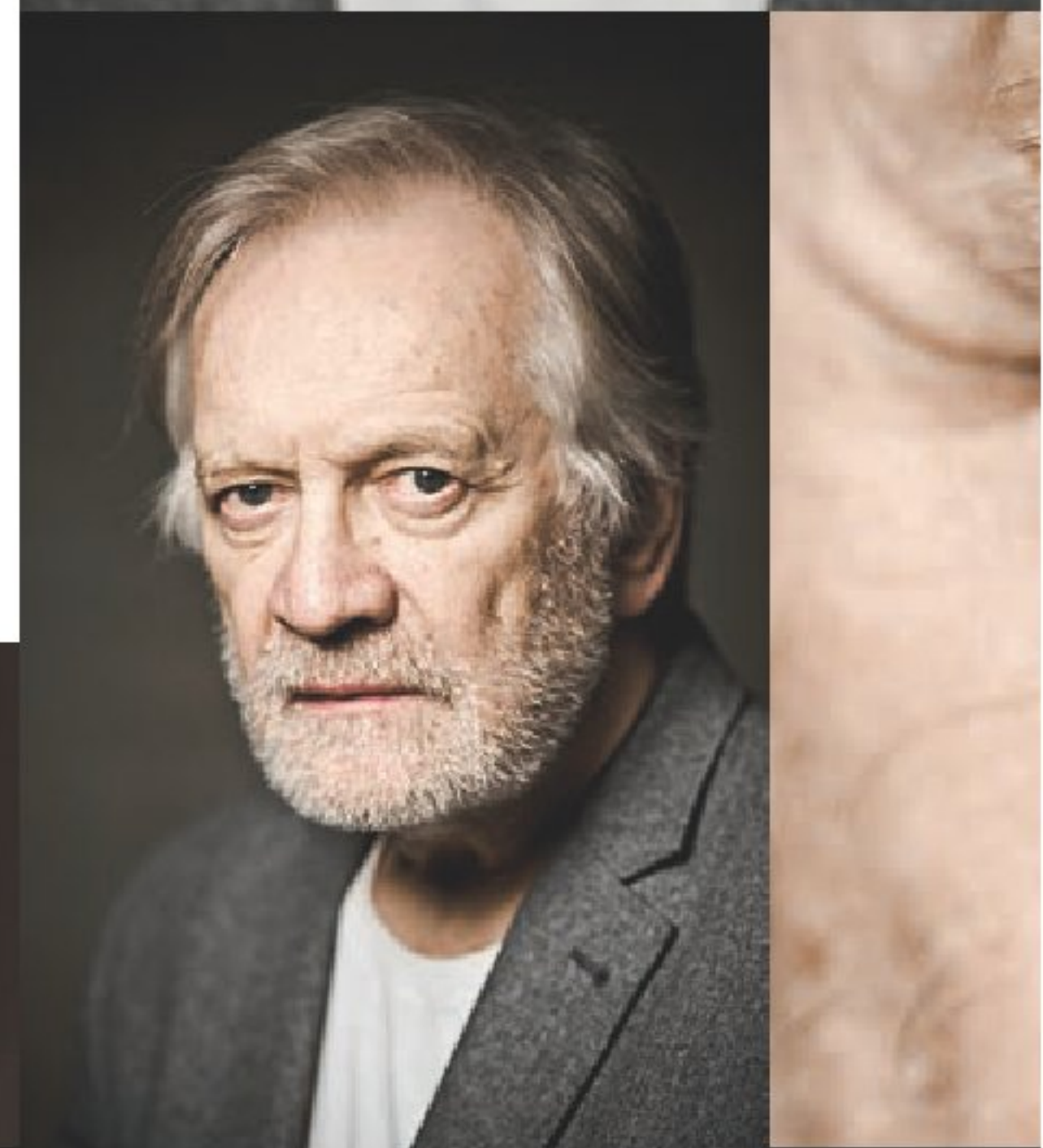
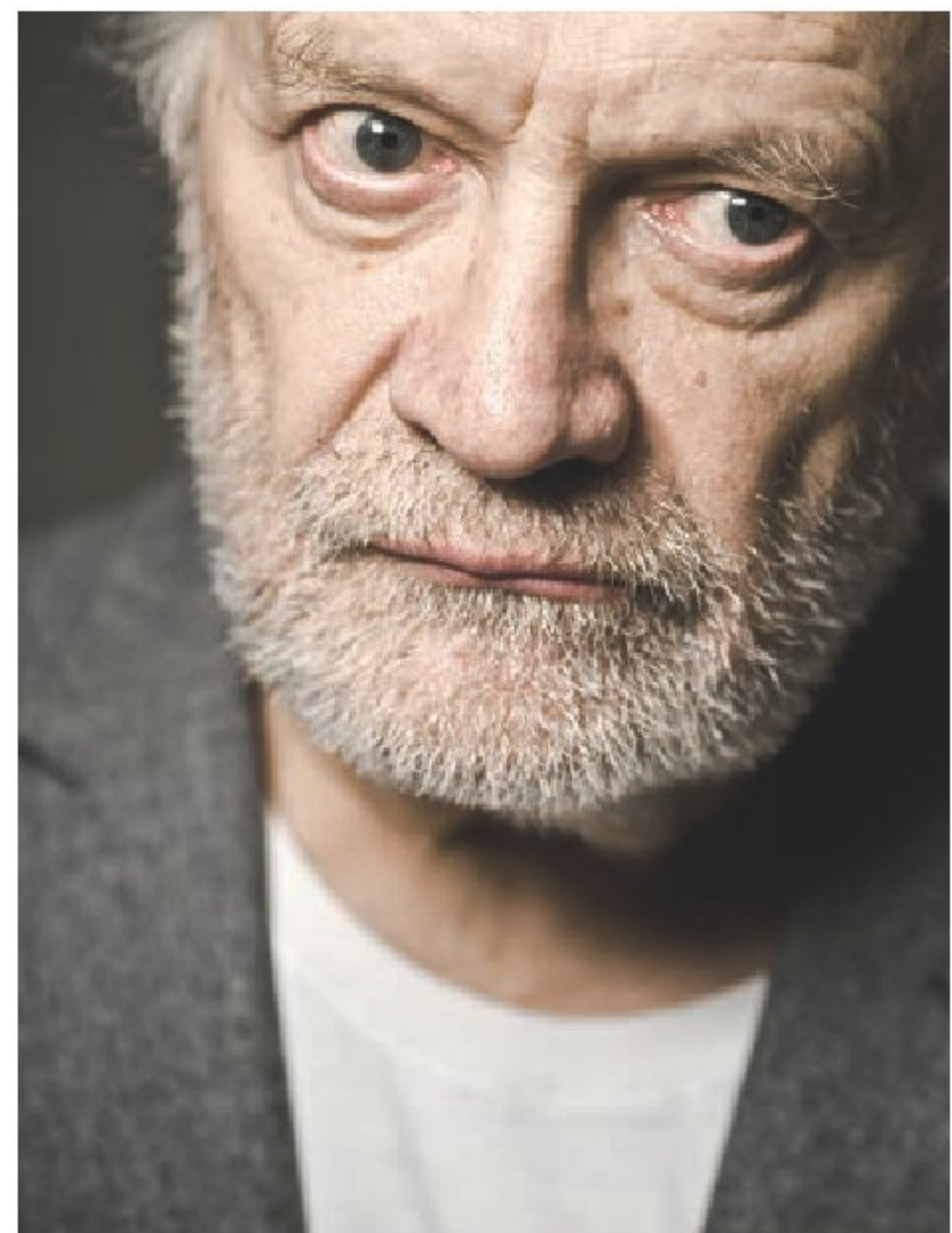
NEWSWEEK: Trwa zimna wojna między artystami a władzą?

ANDRZEJ SEWERYN: Wojna? Można mówić o pewnych niepokojących sygnałach, jak np. prezentacja filmu „Ida” w TVP opatrzona komentarzami. Ale czy to jest wojna?

Jesteśmy świadkami budowania zupełnie innej demokracji niż ta, do której się przyzwyczailiśmy przez ostatnie 25 lat. Oburza mnie wiele faktów w sferze publicznej, np. sprawa pana prezydenta Lecha Wałęsy czy problem Trybunału Konstytucyjnego. Wydaje mi się jednak, że ważne jest zachowanie spokoju, nawet w sytuacjach, które wydają się wymagać natychmiastowych reakcji. Kiedy w latach 70. zatrzymywano zdjęcia do „Na Srebrnym Globie” Andrzeja Żuławskiego, proponowałem Krzysztofowi Kieślowskiemu podpisanie się pod protestem do władz. Odmawiając, powiedział: „Oni nie będą mi narzucali sposobu funkcjonowania w społeczeństwie. Nie są w stanie mnie do czegośkolwiek sprowokować”.

Ostrożność?

– Nie, odpowiedzialność. Za teatr, za zespół. Nieustanna, intensywna, ciężka praca. Jeżeli mogę przysłużyć się polskiej kulturze, to proszę mi dać tę szansę. Jacek Kuroń, który był moim wychowawcą w harcerstwie, rozmawiał ze wszystkimi, niezależnie od ich poglądów, i tak właśnie robimy w Teatrze Polskim. W naszych debatach biorą udział prof. Magdalena





Środa z marszałkiem Markiem Jurkiem, minister Paweł Kowal z redaktorem Sewerynem Blumsztajnem, a ostatnio marszałek Kornel Morawiecki z Jerzym Stępiem w ramach debaty oksfordzkiej.

Przez lata mówił pan, że nie ma poczucia humoru. Tymczasem kiedy w nowym spektaklu kabaretu Pożar w Burdelu „Zemsta bogów” wychodzi pan na scenę w pończochach, damskich butach i wieńcu na głowie, publiczność wyje z radości. Śmieje się pan ze swego wizerunku patrioty, artysty, dyrektora?

– Niedobory humoru to wyraz mojej niedoskonałości, nad którą pracuję od lat. Prywatnie źle opowiadam dowcipy, za to jestem świetnym słuchaczem.

W Polsce ludzie wolą mnie widzieć w „Królu Edypie” niż jako Rejenta w „Zemście”. Przez te 48 lat pracy reżyserom rzadko przychodziło do głowy powierzać mi takie role. Ale ja też bałem się zdjąć gacie albo dostać tortem w łeb... Uważałem, że śmiech jest gorszy niż łzy. A to nie tak. Ważniejszy jest sens tego śmiechu i sens łez. Często łzy są bardzo banalne.

Skąd to przekonanie, że śmiech jest czymś gorszym?

– Stąd. W Polsce teatr jest miejscem świętym, w którym rozgrywają się największe dramaty mojej ojczyzny. Gdzie wystawia się „Dziady”, „Kordiana”, „Księża Marka” czy Norwida. Ja tę powagę sobie narzuciłem. Do tego przyłożył się jakiś kult pracy, może to jest związane z domem, w którym się nie przelewało.

Mama była sprzątaczką w Pałacu Kultury, konduktorką w trolejbusie, strażniczką nocną i garderobianą.

– Z domu wyniosłem szacunek do pracy. Przez lata myślałem, że to, co wypracowane, dopieszczone, przemyślane, musi być dobre, wartościowe. A to często jest nieprawdą i gubiło mnie jako artystę, nakładało jakiś pancerz. Miałem poczucie, że komizm jest łatwy. Musiały minąć lata, żebym zrozumiał, że geniusz (aktorski, reżyserski, artystyczny) również może się wyrazić w niedokończeniu

czy lekkości, z łatwością, niekoniecznie w nadmiernym trudzie. Wtedy nie znałem jeszcze „Pana Tadeusza”. Dzisiaj znam go dużo lepiej. Wydaje się, że jestem jedynym aktorem w Polsce, który przeczytał cały poemat Adama Mickiewicza publicznie i do tego kilkakrotnie. Sześć wieczorów z rzędu w Teatrze Wybrzeże, w Radziejowicach... Odkrywam w nim mądrość, tragizm, komizm, znajomość archetypu polskości.

Ale trzeba też powiedzieć, że w komizmie do tej pory średnio mi szło. Na początku, w latach 70., zagrałem role komediowe, których nie uważam za wybitne. Dlatego dziwiłem się kolegom, którzy po spektaklach w teatrze biegli grać w kabaretach. Dzisiaj żałuję, że nie byłem w kabaretach Olgi Lipińskiej czy Pod Egidą, na jednej scenie z Januszem Gajosem czy Piotrem Fronczewskim.

Na swoje 70. urodziny zagra pan w „Ostatniej taśmie Krappa” Becketta.

Czyli jednak zwyciężyła powaga?

– Żeby pan wiedział, ile się śmiejemy z reżyserem spektaklu Antonim Liberą na próbach.

Krapp jest niespełnionym pisarzem, który co roku nagrywa swoje monologi.

Na scenie odsłuchuje taśmę, którą zarejestrował, kiedy miał 27 i 39 lat.

Pamięta pan siebie w 1973 r.?

– I tak, i nie. Pracuję w teatrze Ateneum, gram w kolejnych filmach. Wczoraj ktoś dał mi płytę, wrzucam ją do odtwarzacza, patrzę, a tam moja twarz, obok pani Danuta Nagórna i pani Anna Ciepielewska. Już nie pamiętam nawet tytułu dzieła, wiedziałem tylko, że był to spektakl Krzysztofa Kieślowskiego [„Pozwolenie na odstrzał” – spektakl w reżyserii Kieślowskiego na podstawie powieści Zofii Posmysz o tym samym tytule, 1972 r. – przyp. red.]. Nie pamiętałem, że w ogóle to grałem. A jednocześnie pamiętam Krzysztofa siedzącego na ziemi w moim dawnym mieszkaniu na Żelaznej. Rzuciłem na to okiem i pomyślałem, że Kieślowski dobrze mnie reżyserował!

Gdybym dzisiaj odsłuchiwał nagranie mojego głosu z 1973 r., takie, jakie robił Krapp, to prawdopodobnie powiedziałbym: „Wysłuchiwałem właśnie tego żalostnego kretyna, za którego uważałem siebie

30 lat temu. Trudno mi uwierzyć, że uważałem go wtedy za siebie! Ten głos, Boże! Dzięki Bogu wszystko to już skończone”.

Nie lubi pan tamtego siebie?

– Nie lubię, kiedy myślę o mojej ówczesnej niezachwianej pewności. Natomiast facet, który mówi: „Wierzę w sztukę, wierzę w teatr”, podoba mi się ze swoimi ideałami. Kiedy wybierałem zawód, wydawało mi się, że jako aktor będę zmieniał świat. Okazało się, że świat dał sobie radę beze mnie. Ale jednocześnie byłem wtedy nadęty i zarozumiały, konfliktowy. Po latach trochę mnie to denerwowało.

Protestował pan przeciwko zdjęciu

„Dziadów” Kazimierza Dejmka, interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji, znał pan Jacka Kuronia. Uważał się pan za lepszego?

– Pewnie trochę tak. Do tego nieufność, której nabawiłem się po aresztowaniu, w więzieniu. Wolę o tym nie gadać.

A co z rokiem 1985? Miał pan 39 lat.

– To już Francja, która mnie trochę rozluźniła. Wyjechałem zagrać w „Onych” Witkacego, po francusku, w reżyserii Andrzeja Wajdy. To była wielka szansa i nie przestraszyło mnie nawet, że rola była komiczna. Tam zastał mnie stan wojenny i kiedy postanowiłem zostać, po prostu nie miałem wyboru – musiałem ryzykować. W drugim przedstawieniu, „La trilogie du revoir”, grałem mężczyznę jedzącego sandwicha, z którego wysypuje się sałata, leci ketchup... Próbowałem to ze wstydem, poczuciem, że robię z siebie pośmiewisko, że to niegodne zawodowego aktora. Dopiero aplauz publiczności na premierze pozbawił mnie wątpliwości. Wracając do 1985 r. ... jestem już piąty rok w Paryżu, walczę o przetrwanie, zaczynam pracę z Peterem Brookiem, a przede wszystkim przeżywam lekcję pokory.

Lekcja pokory?

– Jako aktor z 18-letnim doświadczeniem zaangażowany zostałem do zespołu Petera Brooka, wielkiego reżysera, który prowadził Międzynarodowy Ośrodek Poszukiwań Teatralnych. Pracowałem tam z ludźmi różnych narodowości, religii, ras. Zobaczyłem przypadkową, jak mi się zdawało, zbieraninę ludzi, z których część nigdy nie występowała w teatrze. Dla Brooka wszyscy byli aktorami i mie-

li takie same prawa jak ja. Nie było łatwo mi się z tym pogodzić. Zaczęliśmy próby do „Mahabharaty”, hinduistycznego poematu. Zaczęły się improwizacje. Zawsze pracowaliśmy w kole. Peter wywoływał nas na środek i rzucał temat do improwizacji. Nie było żadnych kulis, pleców kolegów, za które można się schować, czasu na zastanowienie. Peter pokazywał człowiekowi po prostu: „Stary, nie umiesz czegoś, musisz jeszcze się dużo uczyć!”.

Zresztą od tamtego czasu miewam sny z Brookiem, które nie należą do najmiłszych. Jestem w nich odrzucany przez grupę. Zdumiewające, prawda?

Dwuletnia praca z tym zespołem ukształtowała mnie jako, za przeproszeniem, Europejczyka. Przyjechałem z Polski, monokulturowej, monoreligijnej. A tam? Wszystkie religie, kolory skóry, kultury, muzyki! Mówiąc brutalnie, widząc na ulicy w Warszawie czarnoskórego czy Azjatę, nie mam reakcji przeciętnego obywatela mojej ojczyzny. Ich obecność nie dziwi mnie i nie przeszkadza mi.

Z „Mahabharatą” Brooka zjeździł pan świat, ale w Polsce się podśmiewali.

– Próbowałem wciągnąć do zespołu paru kolegów z Polski. Brook zapewniał comiesięczną pensję, z której można było dobrze żyć. Jestem przekonany, że każdemu przydałaby się praca z Brookiem. Ale koledzy kręcili nosem: dwa lata? Czy stracili coś, odmawiając? Co zyskali? Nie wiem. Po premierze „Mahabharaty” zdarzały się przyjacielskie uszczypliwości w rodzaju: „A ty co, Hare Kriszna jesteś?”.

Jeden z wybitnych polskich kolegów, oglądając spektakl we Frankfurcie, powiedział: „No wiesz, wszystko dobrze, ale to są źli aktorzy”. „No dobrze – mówię – ale ty byś po prostu umarł ze wstydu po 15 minutach na tej scenie, bobyś nie umiał tak mówić, ruszać się, śpiewać jak oni, więc odwal się od nich. Rób swoje kino, graj swoje role, jak umiesz. Nie można w ten sposób oceniać teatrów i aktorów!”. Inny wybitny reżyser: „No co ty, Andrzej, do sekty się zapisałeś?”. Efekt był taki, że trafiłem potem do Comédie-Française, jako aktor z teatru alternatywnego, atrakcyjnego dla tej szacownej instytucji.

„W cichym wnętrzu kaplicy aleksandryny dźwięczały regularnym rytmem... Aktor

miął znakomitą dykcję; odnosiłem wrażenie, że należy do trupy Comédie-Française, ale również, że grywał w filmach. To był polski aktor, teraz już byłem pewien, ale nadal nie mogłem sobie przypomnieć jego nazwiska; może również był katolikiem, jak to bywa u aktorów...". Poznał pan siebie?

– Oczywiście. Kiedy tylko powieść Michela Houellebecqa trafiła do księgarni i zaczęły się tłumaczenia, ten fragment „Uległości” dostawałem od przyjaciół z całego świata i w różnych językach: po hiszpańsku, francusku, włosku i angielsku. To bardzo przyjemne zostawić taki ślad w literaturze. Michel chodził na kilka moich przedstawień do Comédie-Française, a potem zaproponował mi rolę w filmie opartym na „Możliwości wyspy”.

Sam go reżyserował.

– Kiedy spotkaliśmy się na kawie, wyglądał jak ostatni żul. Dbłość o wygląd nie była jego mocną stroną. Papieros ciągle tlił się między małym palcem a serdecznym. We Francji, żeby reżyserować lub zagrać w filmie, trzeba mieć zaświadczenie od lekarza o stanie zdrowia. Michel wchodził do gabinetu przede mną. Lekarz miał wątpliwości, czy może mu takie zaświadczenie wystawić. Przy tej całej dezynwolturze to precyzyjny facet, świetnie mnie prowadził na próbach. Podobno jednak film okazał się średni. Nie wiem, bo jeszcze go nie widziałem.

W wieku 64 lat rzucił pan spokojny etat w Comédie-Française i zamienił na gorącą posadę dyrektora Teatru Polskiego. We Francji dopadł pana syndrom szklanego sufitu?

– Tak, wiedziałem, że tam mogę być aktorem albo reżyserem, mogę wziąć odpowiedzialność za rolę, spektakl, ale już za nic więcej. A ja chciałem więcej. Wydawało mi się, że warto, żebym wrócił, że mogę się tu przydać. Poza tym minęło 20 lat w Comédie-Française, moje życie osobiste też pchało mnie ku Warszawie.

Co pana zdziwiło po powrocie?

– Po pierwsze, myślałem, że jeżeli spektakl jest na wysokim poziomie, to automatycznie będzie miał publiczność. To przeświadczenie wyniosłem z Comédie-Française, gdzie najmniejszą widownię miał „Ślub” Gombrowicza, a było

górze 200 osób na sali. Na innych przedstawieniach na ogół były komplety. Drugą sprawą jest niestabilność finansowa. We Francji zmniejszenie dotacji dla teatru w ciągu sezonu jest nie do pomyślenia. Trzecia sprawa to ewolucja w świecie aktorskim, polegająca na tym, że wielu ludzi nie ma ochoty pracować w zespołach teatralnych. Są to tzw. gwiazdy, które chcą mieć wolność zatrudnienia, ale i tacy, którzy nie wierzą w sens bycia w zespole. Etos zespołu przestał mieć dawne znaczenie.

Czego się pan dowiedział przez pięć lat o polskiej publiczności?

– Odnoszę wrażenie, że widownia teatrów jest w większości złożona z kobiet, a główną atrakcją przyciągającą widza są wykonawcy, aktorki i aktorzy. Zasadniczo

„Kiedy wybierałem zawód, wydawało mi się, że jako aktor będę zmieniał świat.

Okazało się, że świat dał sobie radę beze mnie

dzisiejsza publiczność ma kompletnie inne przygotowanie niż ta w latach 50. czy nawet 60. Ludzie wiedzą o teatrze mniej. Dzisiejszy widz jest bardziej rozproszony i zdekoncentrowany. I o tego właśnie widza trzeba walczyć, stawiając mu poważne wyzwania, a nie – obniżając poziom artystyczny przedstawień.

Cieężko prowadzić dzisiaj teatr?

– Robię to, co uważam za słuszne, a nie przeciwko komuś czy czemuś. Nie jestem starym trupem, ale też nie chcę uchodzić za nowoczesnego i przebierać aktorów w dżinsy i kazać im, by sobie wstrzykiwali heroinę. Ludzie, nie wariujmy!

Potrzebna nam różnorodność teatralna. Nie można zaczynać przygody z teatrem od oglądania ruin czy zburzenia świątyni. Pablo Picasso malował realistyczne obrazy swojej rodziny i potem, wiedząc, jak

się to robi, odszedł od tego – to jest moim zdaniem zdrowsze i mocniejsze. Jerzy Grotowski skończył dobrą szkołę, dopiero wtedy odszedł od klasyki i robił swoje.

Ma pan 69 lat, tak jak sceniczny Krapp. Jak samopoczucie?

– Jest we mnie wciąż sporo z harcerza, z jakimś zadaniem, misją do wykonania.

Co jest największym wyzwaniem dla aktora w tym wieku?

– Utrzymać się przy zdrowiu. Mówię poważnie! A atuty? Będąc na scenie w roli Leara, Rejenta czy Krappa, mogę już mniej grać, udawać. Ale to niech już oceni widz.

Nieoczekiwanie dane było mi spotkać się z facetem, który robił dokładnie to, co Krapp. Zdzisław Beksiński, którego gram w filmie „Ostatnia rodzina”, nie nagrywał siebie raz w roku, tylko codziennie. Najpierw audio, a potem wideo. Nie jestem tylko pewien, czy później to oglądał. Wątpię, za dużo miał na głowie. Malował, rzeźbił, pisał listy, czytał, miał problemy z synem Tomkiem, tłumaczem i dziennikarzem radiowym, żoną Zofią. W Warszawie zajmował się dwiema matkami: swoją i Zosi, które mieszkaly u nich w bloku nad Dolinką Służewiecką. Kiedy zacząłem próby spektaklu, pomyślałem: „Jezus Maria, przecież to jest polski Krapp!”.

Nie żałuje pan powrotu?

– Ale skąd! Wszyscy myślą, że skoro tutaj nie jest idealnie, to od razu żałuję. Norwid napisał: „Ojczyzna to wielki obowiązek”.

„Zbiorowy obowiązek”.

– To nawet lepiej, nie wychodzę na pseudobohatera, od którego zależy los Polski. **N**

jacek.tomczuk@newsweek.pl

ANDRZEJ SEWERYN (1946) JEST AKTOREM, REŻYSEREM. W 1968 R.

PROTESTOWAŁ PRZECIW ZDJĘCIU

„DZIADÓW”. SŁAWĘ PRZYNIOSŁA MU ROLA

W „ZIEMI OBIECANEJ” ANDRZEJA WAJDY.

OD 1980 R. MIESZKAŁ WE FRANCJI.

OD 2010 R. DYREKTOR TEATRU

POLSKIEGO W WARSZAWIE

PREMIERA SPEKTAKLU „KRAPP I DWIE INNE JEDNOAKTÓWKI” SAMUELA BECKETTA

W REŻ. ANTONIEGO LIBERY – 13 KWIEŹNIA

W TEATRZE POLSKIM W WARSZAWIE